NAJWAŻNIEJSZA KSIĄŻKA
O AMERYCE OSTATNICH LAT

Elegia dla bidoków

J.D. VANCE

PRZEŁOŻYŁ
TOMASZ S. GAŁĄZKA

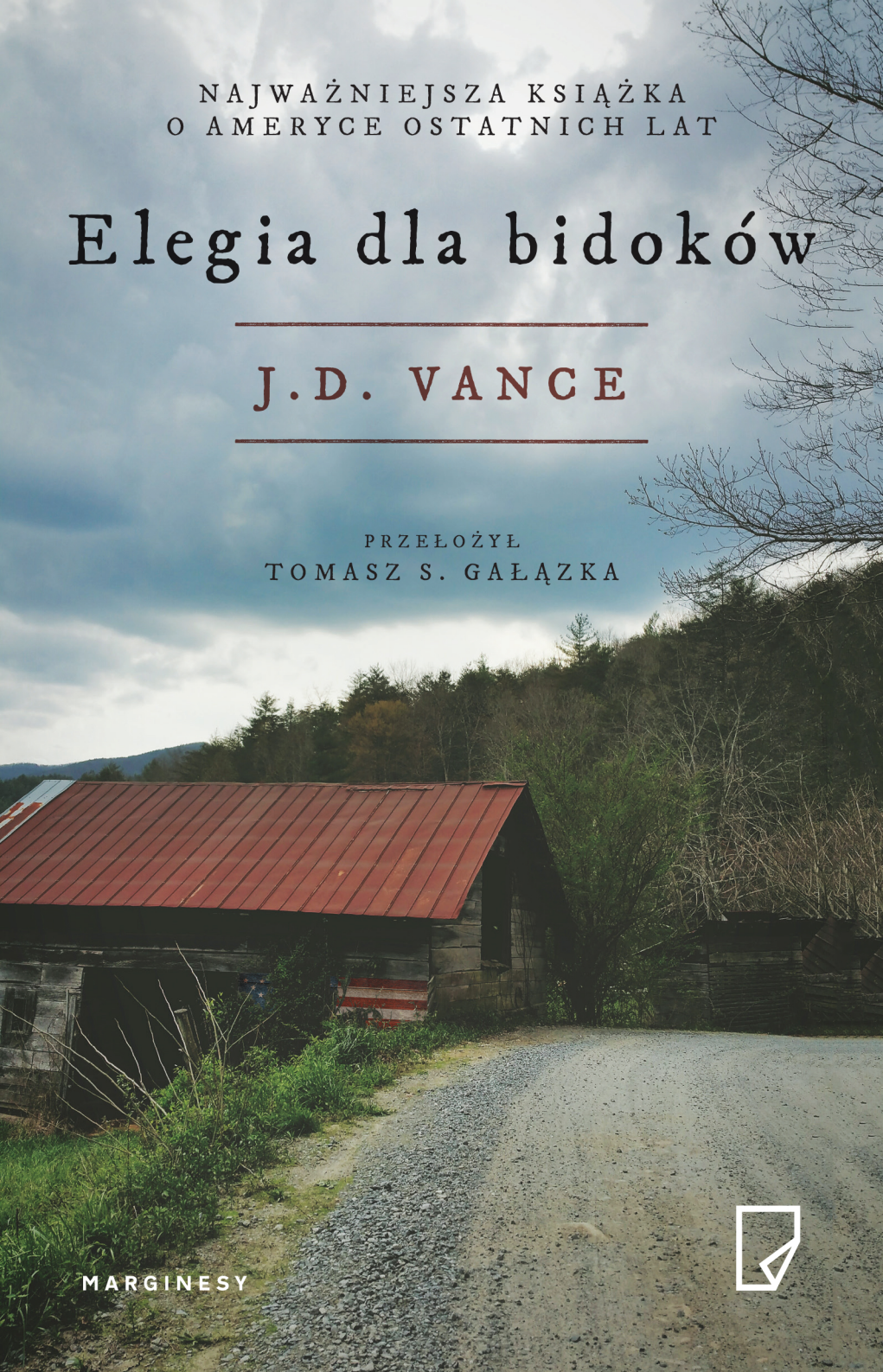

MARGINESY

Elegia dla bidoków

Wspomnienia o rodzinie i kulturze w stanie krytycznym

J.D. VANCE

PRZEŁOŻYŁ
TOMASZ S. GAŁĄZKA

MARGINESY

Dla Mamaw i Papaw,
moich osobistych
bidoko-Terminatorów

COPYRIGHT © 2016 BY J.D. Vance. ALL RIGHTS RESERVED

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Tomasz S. Gałązka
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,
WARSZAWA 2018

Wstęp

Nazywam się J.D. Vance, a powinienem chyba zacząć od wyznania: otóż fakt zaistnienia tej książki, którą trzymacie właśnie w rękach, wydaje mi się cokolwiek absurdalny. Już na stronie tytułowej stoi, że to wspomnienia, ale mam ledwie trzydzieści jeden lat i sam pierwszy powiedziałbym, że w życiu nie dokonałem niczego wielkiego, a już na pewno niczego wartego wyciągania od nieznajomych pieniędzy za to, żeby mogli sobie o tym poczytać. Najbardziej bajeranckie z moich osiągnięć, przynajmniej na papierze, to ukończenie prawa na Yale, coś, co trzynastoletni J.D. Vance uznałby za słaby żart. Tyle że co roku dokonuje tej sztuki dwustu ludzi i daję wam słowo, że o żywotach większości z nich wcale nie chcielibyście czytać. Nie jestem senatorem, gubernatorem stanowym ani byłym ministrem. Nie rozkręciłem firmy wartej miliardy ani organizacji pozarządowej, która zmieniła oblicze świata. Mam fajną pracę, układa mi się w małżeństwie, jestem właścicielem wygodnego domu i dwóch żwawych psów.

Nie napisałem więc tej książki dlatego, że dokonałem czegoś nadzwyczajnego. Napisałem ją dlatego, że osiągnąłem coś zupełnie zwyczajnego, co jednak bardzo rzadko

zdarza się dzieciakom, które dorastają w warunkach takich jak ja. Bo ja, wiecie, wychowywałem się w biedzie, w hutniczym miasteczku w Ohio, jednym z wielu w tak zwanym Pasie Rdzy, skąd jak z otwartej rany, od kiedy pamiętam, wyciekały miejsca pracy i nadzieja. Stosunki z rodzicami mam, delikatnie rzecz ujmując, skomplikowane – jedno z nich boryka się z nałogiem niemal tak długo, jak ja żyję. Wychowywali mnie dziadkowie, z których żadne nie dorobiło się nawet matury, zresztą wśród wszystkich krewnych i powinowatych znalazłoby się raptem parę osób, które poszły na studia. Statystyka powie wam, że takim dzieciom kroi się ponura przyszłość – jeśli im się poszczęści, nie skończą na socjalu, a jeśli będą mieli pecha, umrą, przedawkowawszy heroinę, jak skończyły dziesiątki ludzi z mojego rodzinnego miasteczka tylko w minionym roku.

Byłem jednym z tych dzieciaków z ponurą przyszłością. O włos uniknąłem uwalenia liceum. Mało brakowało, a uległbym zapiekłym urazom i gniewowi, które żywili wszyscy wokół. Teraz ludzie patrzą na mnie, na moją pracę, dyplom prestiżowej uczelni i myślą sobie, że jestem jakimś geniuszem, że tylko naprawdę nadzwyczajny człowiek dopiąłby tego, co dziś mam. Z całym należnym im szacunkiem sądzę, że ta opinia to srogie pierdolenie. Może i mam jakieś talenty, ale niemal wszystkie roztrwoniłem, zanim zostałem ocalony przez grupkę kochających osób.

To właśnie prawdziwa historia mojego życia, a także powód, dla którego napisałem tę książkę. Chcę, żeby inni dowiedzieli się, jakie to uczucie, kiedy człowiek już prawie jest gotów sam siebie skreślić i co może go do tego skłonić. Chcę, żeby pojęli to, co dzieje się w życiach ludzi biednych,

i psychologiczne konsekwencje ubóstwa materialnego oraz duchowego dla ich dzieci. Chcę, żeby ludzie zrozumieli amerykański sen – taki, jakiego doświadczyłem ja i moja rodzina. Chcę, żeby pojęli, co naprawdę oznacza awans społeczny. Chcę też, żeby uświadomili sobie to, czego sam nauczyłem się dopiero niedawno: że nawet ci z nas, którym poszczęściło się żyć w amerykańskim śnie, wciąż są ścigani przez upiory życia, które za sobą pozostawili.

W tle mojej opowieści kryje się aspekt etniczny. W naszym społeczeństwie, wrażliwym na kwestie rasowe, słownictwo często dociera nie głębiej niż do koloru ludzkiej skóry: „czarni", „Azjaci", „przywilej bieli". Te szerokie kategorie bywają przydatne, ale żeby zrozumieć moją historię, trzeba przyjrzeć się szczegółom. Może i jestem biały, ale nie utożsamiam się z anglosaską protestancką elitą ze stanów północnego wschodu. Nie, moi pobratymcy to miliony białych Amerykanów wywodzących się ze Szkoto-Irlandczyków, robociarzy bez wyższego wykształcenia. Dla nich bieda to rodzinna tradycja – ich przodkowie byli najmitami w czasach, gdy gospodarka na Południu opierała się na niewolnictwie, potem połownikami, później kopali węgiel, a w nieodległej przeszłości pracowali w hutach i fabrykach maszyn. Amerykanie mówią na nich: *hillbillies* (bidoki), *rednecks* (buraki), białe śmiecie. Dla mnie to przyjaciele, sąsiedzi, rodzina.

Szkoto-Irlandczycy to jedna z najbardziej wyrazistych podgrup społecznych w Stanach. Jak odnotował jeden z obserwatorów tych ludzi: „Podczas moich wędrówek po Ameryce Szkoto-Irlandczycy permanentnie ryli mi mózg jako subkultura regionalna tak uporczywa i niezmienna, że ze świecą szukać drugiej takiej. Ich struktury rodzinne, religia,

polityka, życie społeczne – wszystko zachowało się bez zmian, w odróżnieniu od masowego odrzucenia tradycji, do którego doszło wszędzie indziej”*. To wyraźne przywiązanie do tradycji kulturalnej pociąga za sobą wiele cech korzystnych – silne poczucie lojalności, gorące oddanie rodzinie i ojczyźnie – ale i niejedną złą. Nie lubimy przybyszów ani ludzi odmiennych od nas, nieważne, czy różnica polega na wyglądzie, zachowaniu czy też, co najważniejsze, sposobie mówienia. Żeby mnie zrozumieć, musicie pojąć, że ja także w sercu jestem Szkoto-Irlandczykiem.

Jeśli tożsamość etniczna stanowi jedną stronę medalu, drugą jest geografia. Kiedy pierwsza fala protestanckich imigrantów z Irlandii przybyła do Nowego Świata w XVIII wieku, silnie wabiły ich Appalachy. Owszem, to olbrzymi region – ciągnie się od Alabamy i Georgii na południu przez Ohio po część stanu Nowy Jork na północy – jednak kulturowo Appalachy i ich pogórze są zaskakująco spójne. Moi krewni, mieszkańcy gór we wschodnim Kentucky, sami siebie określają jako *hillbillies*, ale Hank Williams junior, urodzony w Luizjanie mieszkaniec Alabamy, w hymnie białych wieśniaków *A Country Boy Can Survive* [Wsiowy chłopak przetrzyma] również tak siebie nazwał. To właśnie fakt, że ten rejon przeniósł poparcie z Partii Demokratycznej na Republikańską, zmienił reguły amerykańskiej gry politycznej po erze Nixona. I to właśnie w szeroko rozumianych Appalachach przyszłość białej klasy robotniczej jawi się najmniej

* Razib Khan, *The Scots-Irish as Indigenous People*, „Discover”, 22 lipca 2012, blogs.discovermagazine.com/gnxp/2012/07/the-scots-irish-as-indigenous-people/, dostęp: 25 sierpnia 2017.

ciekawie. Od nikłych możliwości awansu społecznego przez biedę po rozwody i narkomanię, moje ojczyste strony to obraz nędzy i rozpaczy.

Trudno się więc dziwić, że pesymistyczna z nas zgraja. Bardziej zaskakuje fakt, że według badań opinii publicznej biała część klasy robotniczej to najbardziej pesymistyczna warstwa w Stanach. Przerastamy pesymizmem emigrantów z krajów latynoskich, spośród których wielu cierpi niewyobrażalną nędzę. Czarnych Amerykanów również, choć ich szanse na dorobienie się wciąż nie dorównują tym, jakie mają biali. Choć rzeczywistość uprawnia pewną dawkę cynizmu, fakt, że bidoki mojego pokroju patrzą na przyszłość z mniejszą nadzieją niż wiele innych grup społecznych – wśród których są i te ewidentnie stojące znacznie gorzej – sugerowałby, że chodzi tu o coś innego.

I tak właśnie jest. Społecznie jesteśmy odizolowani bardziej niż kiedykolwiek przedtem i przekazujemy tę odrębność naszym dzieciom. Zmieniła się nasza religijność – skupia się teraz wokół Kościołów silnych emocjonalną retoryką, ale nieskorych do budowania wsparcia społecznego tego rodzaju, którego potrzebują ubogie dzieci, żeby do czegoś dojść. Wielu z nas nie należy już do puli siły roboczej czy też odmówiło przeprowadzki w okolice, gdzie są lepsze szanse na dobrą pracę. Naszych mężczyzn dotknęła szczególna postać kryzysu męskości, w którym okazało się, że część cech wpajanych w naszej kulturze wręcz utrudnia osiągnięcie sukcesu w zmieniającym się świecie.

Gdy mówię o niedolach swoich pobratymców, często słyszę w odpowiedzi wyjaśnienie mniej więcej tej treści: „No pewnie, J.D., że dla białej klasy robotniczej perspektywy się

pogorszyły, ale stawiasz tu wóz przed koniem. Jest wśród nich więcej rozwodów, mniej małżeństw, doświadczają mniej szczęścia, bo ubyło tego, co gospodarka ma im do zaoferowania. Gdyby tylko mieli lepszy dostęp do zatrudnienia, poprawiłoby się także w innych aspektach ich życia".

Kiedyś sam w to wierzyłem, za młodu wręcz rozpaczliwie pragnąłem w to wierzyć. Bo jest w tym pewien sens. Bezrobocie stresuje, tym bardziej gdy brakuje już pieniędzy na utrzymanie. Kiedy doszło do implozji przemysłowego centrum produkcji na Środkowym Zachodzie, biała klasa robotnicza straciła i bezpieczeństwo ekonomiczne, i wynikającą zeń domową oraz rodzinną stabilność.

Doświadczenie bywa jednak niełatwym nauczycielem, mnie zaś nauczyło, że owa historia braku ekonomicznego bezpieczeństwa jest w najlepszym razie niekompletna. Parę lat temu, w wakacje przed rozpoczęciem studiów prawniczych na Yale, rozglądałem się za pracą na cały etat, żeby mieć za co przeprowadzić się do New Haven w stanie Connecticut. Przyjaciel rodziny zaproponował robotę u siebie, w średniej wielkości hurtowni gresu w pobliżu mojego rodzinnego miasteczka. Gres to bardzo ciężki towar: każda płytka waży od kilo trzydzieści do dwóch i pół kilograma, a z reguły pakuje się je w paczki po osiem lub dwanaście sztuk. Moim głównym zadaniem było ładowanie płytek na palety i przygotowywanie palet do ekspedycji. Niełatwa robota, ale płacili trzynaście dolarów za godzinę, a że potrzebowałem pieniędzy, wziąłem tę pracę, pisząc się na tyle nocek i nadgodzin, ile tylko dałem radę.

W hurtowni pracowało raptem parunastu ludzi, większość z nich już od wielu lat. Jeden ciągnął dwa etaty, ale

nie z konieczności – praca w hurtowni gresu pozwalała mu spełnić marzenie o pilotowaniu samolotu. Trzynaście dolarów za godzinę to w naszym miasteczku dobra stawka dla samotnego faceta (wynajem porządnego mieszkania kosztuje miesięcznie około pięciuset dolarów), a pracownicy hurtowni regularnie dostawali też podwyżki. Każdy, kto przepracował tam parę lat, zarabiał już co najmniej szesnaście dolarów na godzinę, i to mimo kryzysu ekonomicznego, co oznaczało, że rocznie inkasowali trzydzieści dwa tysiące, co nawet dla żywicieli rodzin było dochodem znacznie wykraczającym ponad biedowanie. Mimo tej względnie stabilnej sytuacji szefowie przekonali się, że nie sposób znaleźć na moje miejsce w magazynie pracownika na długi termin. Kiedy stamtąd odchodziłem, w magazynie pracowało już trzech ludzi – ja, dwudziestosześciolatek, byłem z nich zdecydowanie najstarszy.

Jeden, nazwijmy go: Bob, podjął robotę w magazynie parę miesięcy przede mną. Miał dziewiętnaście lat i dziewczynę w ciąży. Kierownik z dobroci serca zaproponował jej pracę w biurze, przy odbieraniu telefonów. Oboje byli fatalnymi pracownikami. Ona opuszczała mniej więcej co trzeci dzień, zawsze bez zapowiedzi. Choć wiele razy uprzedzano ją, że powinna zmienić swoje podejście, wytrzymała tam góra parę miesięcy. Bob nie przychodził do firmy średnio raz w tygodniu, notorycznie też się spóźniał. Na dobitkę często zdarzało mu się wybywać do toalety trzy albo i cztery razy w ciągu dnia, za każdym razem na ponad pół godziny. Było to już tak dokuczliwe, że pod koniec mojego zatrudnienia w tym miejscu wraz z drugim kolegą zrobiliśmy sobie z tego zabawę: uruchamialiśmy stoper i wykrzykiwaliśmy kolejne

przekroczone etapy na cały magazyn: „Trzydzieści pięć minut!", „Czterdzieści pięć minut!", „Godzina!".

W końcu i Bob wyleciał z roboty. Gdy do tego doszło, wydarł się na swojego kierownika: „Jak mogłeś mi to zrobić! Przecież wiesz, że mam dziewczynę w ciąży!". I nie był to odosobniony przypadek: przez tych parę miesięcy, które przepracowałem w magazynie, jeszcze przynajmniej dwóch innych ludzi rzuciło pracę lub zostało z niej zwolnionych, w tym kuzyn Boba.

Nie można ignorować takich sytuacji, kiedy chce się mówić o równości szans. Nobliści z dziedziny ekonomii zamartwiają się o upadek ośrodków przemysłowych Środkowego Zachodu, o to, że gospodarcze podstawy bytu białej klasy robotniczej runęły. Chodzi im o to, że produkcja wyprowadziła się do obcych krajów, a pracę dla klasy średniej coraz trudniej zdobyć bez dyplomu ukończenia studiów. I prawidłowo, mnie również to niepokoi. W tej książce mówię jednak o czym innym: o tym, co dzieje się w życiu prawdziwych ludzi, kiedy gospodarka przemysłowa idzie do piachu. Mówię o reagowaniu na niekorzystne okoliczności w najgorszy możliwy sposób. Mówię o kulturze, która coraz silniej napędza rozpad społeczeństwa, zamiast mu przeciwdziałać.

Korzenie problemów, które dostrzegłem w hurtowni gresu, sięgają znacznie głębiej niż tylko do trendów makroekonomicznych czy polityki. Zbyt wielu młodych ludzi jest odpornych na ciężką robotę. Dobre posady stoją otworem, bo nie ma chętnych, by je podjąć na dłużej. A młody chłopak, który ma wszelkie powody, by wziąć się do pracy – utrzymanie przyszłej żony, dziecko w drodze – beztrosko odpuszcza sobie dobrze płatną robotę ze świetnym ubezpieczeniem

medycznym. Co bardziej niepokojące, kiedy ją traci, uważa, że *to on* został skrzywdzony. Widać tu brak chęci: poczucie, że ma się nad własnym życiem niewielką kontrolę, jak też skłonność do obwiniania wszystkich, tylko nie siebie. To coś, co odstaje od ogólnego krajobrazu gospodarczego dzisiejszej Ameryki.

Należy zauważyć, że choć skupiam się na znanej sobie grupie ludzi – przedstawicielach białej klasy robotniczej z rodzinnymi więzami w Appalachach – nie twierdzę, że należy się nam więcej współczucia niż innym. To nie jest opowieść o tym, dlaczego biali mają więcej powodów do narzekania niż czarni czy ktokolwiek inny. Mimo to mam nadzieję, że czytelnicy tej książki zdołają wyciągnąć z niej wnioski co do wpływów klasowych i rodzinnych na biedotę, nie patrząc na to przez filtr rasy. Wielu analitykom określenia typu „królowa socjalu" niesprawiedliwie przywołują obraz leniwej, czarnoskórej matki żyjącej z zasiłków. Czytelnicy tej książki szybko uświadomią sobie, że ta zjawa ma niewiele wspólnego z tym, co chcę przekazać. Znałem wiele wózkar, królowych socjalu: niektóre mieszkały niedaleko mnie, wszystkie były białe.

Ta książka nie jest akademicką monografią. W ciągu ostatnich paru lat William Julius Wilson, Charles Murray, Robert Putnam i Raj Chetty napisali przekonywające, dobrze uargumentowane prace, które wskazują, że w latach siedemdziesiątych minionego wieku szanse na awans społeczny mocno spadły i właściwie ten stan rzeczy nie poprawił się, że niektóre regiony radzą sobie znacznie gorzej niż inne (niespodzianka – Appalachy i cały Pas Rdzy tu wypadły źle), a wiele ze zjawisk, które zauważyłem we własnym życiu,

dotyka szerszych kręgów społeczeństwa. Mogę mieć pewne zastrzeżenia do niektórych wniosków, które wyciągają ci badacze, niemniej przekonująco dowiedli oni, że Ameryka ma poważny problem. Choć będę korzystał z danych statystycznych, czasem też, by podkreślić własną tezę, opieram się na publikacjach akademickich, moim głównym celem nie jest przekonanie was o istnieniu już udokumentowanego problemu. Zamierzam przede wszystkim opowiedzieć o tym, jak to jest, kiedy człowiek rodzi się z tym problemem wiszącym mu u szyi.

Nie potrafiłbym przedstawić tej opowieści bez odwoływania się do całej obsady mojego życia. Są to zatem nie tylko osobiste wspomnienia, ale też historia rodziny – historia szans i awansu społecznego, widziana oczami grupy bidoków z Appalachów. Dwa pokolenia temu mój dziadek i babcia byli biedni jak myszy kościelne, ale zakochani. Pobrali się więc i wyjechali na północ z nadzieją, że wyrwą się z otaczającej ich potwornej nędzy. Ich wnuk (ja) ukończył studia na jednym z najlepszych uniwersytetów świata. Tyle w skrócie. Pełną wersję znajdziecie na następnych stronach.

Choć czasem zmieniam nazwiska niektórych osób, by chronić ich prywatność, opowieść ta jest, na ile mogę wierzyć własnej pamięci, w pełni dokładnym portretem świata, jaki dane mi było poznać. Nie ma tu postaci zlepionych z kilku osób, nie ma narracyjnego chodzenia na skróty. Gdzie mogłem, weryfikowałem szczegóły na podstawie innych materiałów – świadectw szkolnych, odręcznych listów, zapisków na rewersach fotografii; jestem jednak pewien, że ta historia jest równie ułomna jak ludzka pamięć. W rzeczy samej, kiedy poprosiłem siostrę, by przeczytała jedną z jej wcześniejszych wersji, lektura ta roznieciła półgodzinną rozmowę o tym, czy czasem nie datowałem błędnie jednego z wydarzeń. Pozostałem przy swojej wersji nie dlatego, że powątpiewam w sprawność pamięci siostry (prawdę mówiąc, sądzę, że jej pamięć jest lepsza od mojej), lecz dlatego, że uważam, iż to, jak poukładałem sobie w głowie kolejność zajść, także może czegoś nauczyć.

Nie jestem też bezstronnym obserwatorem. Niemal każda osoba, o której tu przeczytacie, ma głębokie skazy. Niektórzy próbowali zamordować innych ludzi, paru się to powiodło. Niektórzy poniewierali swoimi dziećmi, krzywdząc je fizycznie lub emocjonalnie. Wielu uległo (i wciąż ulega) narkotykom. Kocham ich jednak, nawet tych, z którymi w obawie o zdrowie psychiczne staram się nie rozmawiać. A jeśli zostawię was z odczuciem, że w moim życiu trafili się źli ludzie, to przepraszam bardzo i was, i tych, których tak odmalowałem. W tej opowieści nie ma bowiem postaci negatywnych. To po prostu luźna gromada bidoków usiłujących odnaleźć właściwą drogę – dla własnego dobra, jak też, z Bożej łaski, dla mojego.

I

Jak większość małych dzieci, uczyłem się na pamięć adresu domowego, żebym mógł wyjaśnić dorosłemu, dokąd ma mnie odprowadzić, na wypadek gdybym się kiedyś zgubił. W przedszkolu, kiedy nauczycielka pytała mnie, gdzie mieszkam, mogłem wyrecytować cały adres bez zająknienia, choć mama często się przeprowadzała, z powodów, których jako dziecko za nic nie potrafiłem pojąć. Mimo wszystko zawsze dostrzegałem różnicę między „moim adresem" a „moim domem". Mój adres oznaczał miejsce, w którym spędzałem większość czasu z mamą i siostrą, gdziekolwiek to akurat było. Mój dom jednak był zawsze ten sam: był to dom mojej prababci, w dulinie, w Jackson, w stanie Kentucky.

Jackson to liczące około sześciu tysięcy mieszkańców miasteczko w sercu zagłębia węglowego w południowo-wschodniej części stanu. W sumie miastem nazywa się je trochę na wyrost: jest tu sąd, parę restauracji (niemal bez wyjątku fastfoodowe sieciówki), do tego kilka większych i mniejszych sklepów. Większość ludzi mieszka wśród wzgórz, między którymi biegnie droga stanowa numer 15, w obozowiskach przyczep kempingowych, w mieszkaniach z dopłatami rządowymi, na niedużych gospodarstwach czy

wreszcie w górskich chatach jak ta, która stanowi tło dla najmilszych wspomnień z mojego dzieciństwa.

Mieszkańcy Jackson witają się z każdym, chętnie porzucą nawet ulubione rozrywki, by pomóc nieznajomemu wydostać auto z zaspy, i – co do jednego – zatrzymają samochód, wysiądą i staną na baczność za każdym razem, kiedy zobaczą przejeżdżający kondukt pogrzebowy. To właśnie ten ostatni zwyczaj uświadomił mi, że w Jackson i jego mieszkańcach jest coś wyjątkowego. „Dlaczego każdy zatrzymuje się na widok przejeżdżającego karawanu?" – zapytałem babcię, na którą wszyscy mówiliśmy Mamaw. „Widzisz, słonko, to dlatego, że my jesteśmy z gór. I szanujemy naszych zmarłych".

Dziadkowie wyprowadzili się z Jackson w latach czterdziestych, własne dzieci wychowywali w Middletown w stanie Ohio, gdzie później wyrosłem także i ja. Jednak aż do dwunastego roku życia każde wakacje, jak też wiele pozostałych miesięcy, spędzałem właśnie w Jackson. Przyjeżdżałem tam z Mamaw, która chciała odwiedzić przyjaciół i rodzinę, zawsze świadoma, że czas skracał listę jej ulubieńców. Z upływem lat najistotniejszy stał się jeden powód: opieka nad matką Mamaw, na którą mówiliśmy Mamaw Blanton (chodziło o to, żeby je odróżnić: trochę poplątane, wiem). Zatrzymywaliśmy się więc u Mamaw Blanton, w domu, w którym mieszkała, już zanim jej mąż poszedł walczyć z Japończykami na Pacyfiku.

Dom Mamaw Blanton kochałem najbardziej ze wszystkich na świecie, choć nie był ani duży, ani komfortowy. Miał trzy pokoje. Od frontu była mała weranda, na niej bujana ławka, do tego wielkie podwórze, rozciągające się z jednej strony aż na górę, z drugiej zaś do wlotu do duliny. Choć

Mamaw Blanton miała spory kawał gruntu, w większości były to jednak niegościnne chaszcze. Za domem właściwie nie było już podwórza, tylko piękne górskie zbocze, skały i drzewa. Zawsze jednak zostawały dulina i biegnący obok strumień, to nam w zupełności wystarczało. Wszystkie dzieciaki spały w jednym pokoju na piętrze: jak sala pododdziału, chyba z tuzin łóżek, gdzie bawiliśmy się z kuzynami do późnej nocy, póki nie rozdrażniliśmy babci do tego stopnia, że terrorem zapędzała nas pod kołdry.

Okoliczne góry były dla dziecka rajem, więc wiele czasu spędzałem na zastraszaniu fauny Appalachów: ni żółw, wąż, żaba, ryba, ni wiewiórka nie mogły czuć się bezpiecznie. Uganiałem się tam z kuzynami, nieświadom nieodstępnego ubóstwa ani pogarszającego się stanu zdrowia Mamaw Blanton.

Na głębszym poziomie Jackson było tym miejscem, które należało do mnie, mojej siostry i do Mamaw. Kochałem Ohio, ale miałem stamtąd zbyt wiele bolesnych wspomnień. W Jackson byłem wnukiem najtwardszej kobiety, jaką ktokolwiek znał, i najzręczniejszego mechanika samochodowego w miasteczku, w Ohio zaś – porzuconym synem faceta, którego właściwie nie znałem, i kobiety, której wolałbym nie znać. Mama przyjeżdżała do Kentucky tylko na coroczne zjazdy rodziny albo kiedy wypadł pogrzeb, a gdy już się zjawiała, Mamaw pilnowała, żeby w bagażu nie nazwoziła swoich dramatów. W Jackson nie było miejsca na wrzaski, awantury, na bicie mojej siostry, a już na pewno nie było „żadnych chłopów", jak by to ujęła Mamaw. Mamaw nie trawiła rozlicznych lowelasów mojej mamy i żaden z nich nie miał wstępu do Kentucky.

W Ohio wyćwiczyłem się do perfekcji w lawirowaniu między kolejnymi dorywczymi tatuśkami. Przed Steve'em, ofiarą kryzysu wieku średniego, co dało się poznać po kolczyku w uchu, udawałem, że kolczyki są git – do tego stopnia, że uznał za stosowne przekłuć także moje ucho. Przy Chipie, policjancie alkoholiku, który uważał mój kolczyk za oznakę „dziewczyńskości", byłem gruboskórny i uwielbiałem radiowozy. W erze Kena, dziwnego typa, który oświadczył się mamie w trzecim dniu znajomości, byłem jak dobry brat dla dwójki jego dzieciaków. Tyle że to wszystko były pozy. Nienawidziłem kolczyków, nienawidziłem radiowozów, wiedziałem też, że z dziećmi Kena przestanę się widywać, nim upłynie rok. A w Kentucky nie musiałem udawać kogoś, kim nie byłem, bo jedyni mężczyźni, którzy liczyli się tam w moim życiu – bracia babci i jej szwagrowie – i tak już mnie znali. Czy chciałem, żeby mogli się mną chlubić? No pewnie, ale nie dlatego, że udawałem, że ich lubię. Ja ich autentycznie kochałem.

Najstarszym i najbardziej wrednym z Blantonów był wuja Salicyl – przezwisko wzięło się od woni, którą zalatywała jego ulubiona guma do żucia. Wuja Salicyl, podobnie jak jego ojciec, służył w marynarce podczas II wojny światowej. Umarł, kiedy miałem cztery lata, więc tak naprawdę pamiętam go tylko z dwóch wydarzeń. Raz gnałem jak poparzony, bo Salicyl deptał mi po piętach ze sprężynowcem w garści, zarzekając się, że jak mnie dorwie, to moim prawym uchem nakarmi psa. Rzuciłem się w ramiona Mamaw Blanton i tak się skończyła ta przerażająca zabawa. Wiem jednak, że go kochałem, bo drugie wspomnienie dotyczy ataku furii, którego dostałem na wieść o tym, że nie będę mógł zobaczyć go

na łożu śmierci – darłem się tak, że babcia musiała wbić się w kitel i przeszwarcować mnie do szpitala. Pamiętam, jak tuliłem się do niej pod tym kitlem, ale samego pożegnania z wujem już nie.

Drugi był wuja Pet. Wysoki facet o ostrym intelekcie i rubasznym poczuciu humoru. Wśród Blantonów to wui Petowi w interesach powiodło się najlepiej: wcześnie wyprowadził się od rodziców i rozkręcił kilka firm, tu handel drewnem, tam budowlanka, dzięki czemu w czasie wolnym stać go było na wyścigi konne. Wydawał się też najsympatyczniejszy z całej tej ferajny, miał ogładę i urok wziętego biznesmena. Pod tym wdziękiem krył się jednak ognisty temperament. Zdarzyło się, że kierowca dostarczający towar do jednej z firm wui powiedział temu staremu góralowi: „Rozładuj mnie to natychmiast, psi synu". Wuja Pet zinterpretował tę uwagę dosłownie: „Kiedy tak mówisz, twierdzisz, że moja najdroższa mama puściła się z psem, więc proszę uprzejmie, uważaj na słowa". Kierowca – wołali go Duży Red, bo był duży i rudy – dał repetę obelgi, więc wuja Pet zachował się tak, jak postąpiłby każdy rozważny właściciel firmy: wywlókł typa z szoferki, obił go do nieprzytomności, a następnie okrzesał piłą elektryczną z góry na dół i z powrotem. Duży Red omal się nie wykrwawił, ale pędem dostarczono go do szpitala i udało się go odratować. Jednak wuja Pet nie poszedł za to siedzieć. Najwyraźniej Duży Red też pochodził z Appalachów i nie zamierzał gadać o tej sprawie z policją ani wnosić oskarżenia. Wiedział, czym się kończy zelżenie komuś matki.

Wuja David był chyba jedynym z braci Mamaw, który niezbyt dbał o kult honorności. Ten stary buntownik o długich,

falistych włosach i jeszcze dłuższej brodzie kochał wszystko, tylko nie zasady, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego nawet nie starał się usprawiedliwiać, kiedy znalazłem jego wielki krzak marihuany na tyłach starego domu Mamaw Blanton. Wstrząśnięty, zapytałem wuję, co zamierza uczynić z tymi nielegalnymi narkotykami. No to wyciągnął bletki, zapalniczkę i zademonstrował. Miałem dwanaście lat. Wiedziałem, że jeśli Mamaw się dowie, to go zabije.

A bałem się tego, bo wedle rodzinnych legend Mamaw raz o mało co z a b i ł a b y jednego faceta. Kiedy miała może dwanaście lat, wyszła raz na dwór i widzi, a tu dwaj tacy ładują rodzinną krowę – cenny dobytek w świecie pozbawionym wody bieżącej – na pakę półciężarówki. No to wbiegła do domu, złapała za sztucer i wygarnęła do nich parę razy. Jeden zwalił się na ziemię – skutek postrzału w nogę – a drugi wskoczył za kierownicę i nawiał z piskiem opon. Niedoszły bydłokrad ledwie się czołgał, więc Mamaw podeszła bliżej, wymierzyła śmiercionośnym końcem sztucera w jego głowę i szykowała się już do zamknięcia tematu. Na szczęście dla złodzieja do akcji wkroczył wuja Pet. Na pierwsze potwierdzone zabójstwo Mamaw musiała jeszcze poczekać.

Choć wiem, jaka z Mamaw była wariatka, i to pod bronią, nie potrafię uwierzyć w tę historię. Zrobiłem sondaż w rodzinie i połowa ludzi w ogóle o tym zajściu nie słyszała. Jestem gotów uwierzyć w to, że zabiłaby złodzieja, gdyby ktoś jej nie powstrzymał. Mamaw brzydziła się nielojalnością, a nie było gorszego zaprzaństwa niż zdrada klasy. Za każdym razem, kiedy ktoś zwinął nam z werandy rower (naliczyłem trzy takie przypadki), włamał się do jej samochodu i wyczyścił

go z bilonu czy zakosił pocztę ze skrzynki, Mamaw mówiła mi tonem generała wydającego żołnierzom rozkazy: „Nie ma gorszego drania jak bidok okradający bidoka. I bez tego mamy ciężko. Ni diabła nie potrzeba nam jeszcze, żeby jeden drugiemu tego ciężaru dokładał".

Najmłodszym z braci Blantonów był wuja Gary. Był ostatnim dzieckiem pradziadków i jednym z najmilszych ludzi, jakich poznałem. Wuja Gary opuścił rodziców za młodu i rozkręcił w Indianie solidny biznes dekarski. Był dobrym mężem i jeszcze lepszym ojcem, a do mnie zawsze mówił: „Jesteśmy z ciebie dumni, Jay Kropka, brachu", a ja aż rosłem z zadowolenia. Jego lubiłem najbardziej, bo jako jedyny z braci Blantonów nigdy nie straszył mnie kopem w dupę czy amputacją ucha.

Babcia miała też dwie młodsze siostry, Betty i Rose, i je obie również bardzo kochałem, ale to mężczyźni z rodu byli przedmiotem mojej obsesji. Siadałem między nimi i błagałem o opowieści z życia, nowe czy powtarzane. To oni byli klucznikami mówionej historii naszej rodziny, a ja – ich najpilniejszym uczniem.

Większa część tej tradycji bynajmniej nie nadawała się dla dziecięcych uszu. Niemal każda opowieść wiązała się z przemocą na taką skalę, że ktoś powinien wylądować za kratami. Sporo dotyczyło powodów, dla których hrabstwo, w którym leży Jackson – Breathitt – dorobiło się swojego aliteracyjnego przydomka: „Bojowe Breathitt". Wiele było wyjaśnień tego stanu rzeczy, ale wszystkie krążyły wokół wspólnego tematu: mieszkańcom hrabstwa pewne rzeczy serdecznie się nie podobały i nie potrzebowali podpierać się prawem, żeby je trzebić.

Jedna z najczęściej serwowanych krwawych historii z Breathitt dotyczyła starszego pana z miasta, oskarżonego o zgwałcenie młodej dziewczyny. Mamaw opowiadała mi, że na parę dni przed procesem znaleźli gościa pływającego twarzą w dół w miejscowym jeziorze, z szesnastoma ranami postrzałowymi w plecach. Władze nigdy nie przeprowadziły śledztwa w sprawie tego morderstwa, a miejscowa gazeta wspomniała o tym zajściu tylko rankiem tego dnia, kiedy odnaleziono zwłoki. Z podziwu godną dziennikarską zwięzłością nagłówek głosił: „Znaleziono zwłoki mężczyzny. Podejrzenie przestępstwa".

– Podejrzenie przestępstwa? – rżała babcia. – Żebyście, cholera, wiedzieli. Bojowe Breathitt załatwiło sukinsyna.

Albo ten dzień, kiedy wuja Salicyl usłyszał przypadkiem deklarację pewnego młodego człowieka, że ten „chętnie zeżarłby jej majty" – miał na myśli bieliznę siostry wui, czyli Mamaw. Wuja pojechał do domu, zabrał jedną parę z szuflady z siostrzanymi barchanami i zmusił owego młodzieńca – trzymając go pod nożem – do konsumpcji.

Być może ten i ów dojdzie do wniosku, że wywodzę się z rodziny pomyleńców. Dzięki tym opowieściom czułem się jednak jak arystokrata wśród bidoków, bo były to historie o klasycznej walce dobra ze złem, a moi krewni stali po stronie dobra. Owszem, zachowywali się ekstremalnie, ale ta skrajność służyła godnej sprawie – obrona honoru siostry czy zagwarantowanie, że zbrodniarz zapłaci za swój czyn. Zarówno bracia Blantonowie, jak i ich zadziorna siostra, ta, na którą mówiłem Mamaw, egzekwowali wyroki na modłę bidoków, a z mojego punktu widzenia była to najlepsza postać wymiaru sprawiedliwości.

Mimo wszelkich swoich cnót, a może i dzięki nim, bracia Blantonowie byli też za pan brat z występkiem. Paru z nich znaczyło swój ślad porzuconymi dziećmi, zdradzanymi żonami, a czasem i jednymi, i drugimi. Wcale też nie znałem ich aż tak dobrze: spotykałem ich tylko na wielkich zjazdach rodzinnych czy przy okazji świąt. Mimo to jednak kochałem ich i wielbiłem. Raz usłyszałem, jak Mamaw mówiła swojej mamie, że kocham braci Blantonów, bo tatusiowie pojawiali się i znikali, a Blantonowie zawsze byli tacy sami. Zdecydowanie coś w tym było. Jednak przede wszystkim bracia Blantonowie byli żywym uosobieniem wzgórz Kentucky. Uwielbiałem ich, bo uwielbiałem Jackson.

Kiedy podrosłem, obsesja na punkcie braci Blantonów przygasła w uznanie, doroślej patrzyłem też na Jackson, już nie jak na raj na ziemi. Zawsze jednak mam to miasteczko za swoje ojczyste. Jest niepojęcie piękne: kiedy w październiku zaczynają się wybarwiać liście, można by pomyśleć, że każde wzgórze tutaj stanęło w płomieniach. Jednak mimo całej swej urody, wszystkich dobrych wspomnień, Jackson to bardzo surowe miejsce. To tam nauczyłem się, że „ludzie z gór" i „biedota" to z reguły pojęcia tożsame. U Mamaw Blanton na śniadanie jedliśmy jajecznicę, szynkę, odsmażane ziemniaki i chlebki sodowe, na lunch kanapki z obsmażoną mortadelą, a na obiad gulasz fasolowy z chlebem kukurydzianym. Wiele rodzin w Jackson nie mogłoby się pochwalić taką dietą, a wiem o tym, bo kiedy podrosłem, nieraz słyszałem, jak dorośli mówili o biednych dzieciach z okolicy i o tym, w jaki sposób miasto mogłoby im pomóc. Mamaw kryła przede mną najgorsze strony Jackson, ale nie da się bez końca zaklinać rzeczywistości.

Kiedy ostatnio odwiedziłem Jackson, oczywiście musiałem zajrzeć do starego domu Mamaw Blanton, gdzie obecnie mieszka wnuk brata Mamaw, Rick, z rodziną. Rozmowa zeszła na zmiany wszędzie dokoła. „Pojawiły się narkotyki – wyjaśnił mi Rick. – No i nikomu nie chce się iść do roboty na dłużej".

Miałem nadzieję, że moja ukochana dulina uniknęła najgorszego losu, poprosiłem więc synów Ricka, żeby wyszli ze mną na spacer. Wszędzie dokoła widziałem najpaskudniejsze oznaki appalaskiej nędzy.

Niektóre były tyleż rozdzierające, co sztampowe: walące się, zapuszczone chaty, bezpańskie psy żebrzące o kęs, walające się na podwórzach stare meble. Inne były bardziej niepokojące. Gdy mijaliśmy mały, dwuizbowy dom, zauważyłem, że z okna jednej sypialni zerkają na mnie zza zasłony wystraszone oczy. Pobudziło to moją ciekawość: przyjrzałem się baczniej i naliczyłem w sumie osiem par oczu, patrzących na mnie z trzech okien z niepokojącą mieszaniną lęku i tęsknoty. Na werandzie przed domem siedział chudy facet, góra trzydziestopięciolatek, najwyraźniej głowa domu. Kilka zajadłych, niedożywionych psów łańcuchowych strzegło mebli porozrzucanych na wydeptanym na klepisko podwórzu. Kiedy zapytałem syna Ricka, jak ten gość zarabia na życie, powiedział mi, że facet nie ma żadnej pracy i jeszcze się tym szczyci. Dodał jednak: „ale to wredne ludzie, więc po prostu staramy się nie wchodzić im w drogę".

Może ten dom to skrajny przykład, ale pod wieloma względami odzwierciedla on życie ludzi z gór w Jackson. Niemal trzecia część ludności miasteczka żyje w ubóstwie, przy czym dotyczy to około połowy tamtejszych dzieci. Co więcej,

nie wliczamy tu znacznej większości mieszkańców Jackson, którzy utrzymują się tuż ponad granicą biedy. Rozpanoszyła się tu epidemia uzależnień od leków przeciwbólowych na receptę. Szkoły publiczne stoją na tak fatalnym poziomie, że ostatnio przejęły nad nimi nadzór władze stanowe. Rodzice wciąż jednak posyłają do tych szkół dzieci, bo niezbyt stać ich na czesne w lepszych placówkach, a tymczasem liceum z przerażającą uporczywością nie jest w stanie przygotować swoich podopiecznych do studiów. Tubylcy niedomagają też na zdrowiu, a bez wsparcia rządu nie uporają się nawet z najbardziej podstawowymi problemami. A co najważniejsze, podchodzą do tego w r e d n i e – nie odważą się odsłonić obcym swojego życia z jednego prostego powodu: nie chcą, by ktokolwiek ich osądzał.

W roku 2009 kanał ABC News wyemitował reportaż z Appalachów, wytykając zjawisko znane jako „zęby Mountain Dew": bolesne problemy dentystyczne u małych dzieci, generalnie spowodowane nadmiarem słodkich napojów gazowanych. W reportażu ABC przytoczono całą litanię opowieści o borykających się z nędzą i wykluczeniem dzieciach z Appalachów. Materiał był w górach powszechnie oglądany, spotkał się jednak z totalnym potępieniem. Powszechna reakcja: Nie wasza sprawa, psiakrew. „To chyba najbardziej obelżywa rzecz, jaką w życiu słyszałem, i powinniście się wszyscy wstydzić, w tym całe ABC" – napisał jeden z internetowych komentatorów. Inny dodał: „Wstydźcie się, że podtrzymujecie stare, fałszywe stereotypy, zamiast przedstawić prawdziwszy obraz Appalachów. Tak samo uważa wielu faktycznych mieszkańców małych miasteczek w górach, których znam".

Wiem o tym, bo moja kuzynka ruszyła do boju na Facebooku, by uciszać tych krytyków – podkreślając, że tylko poprzez przyznanie, że są w regionie kwestie stwarzające problemy, jego mieszkańcy mogą mieć jakąkolwiek nadzieję na poprawę sytuacji. Amber ma wyjątkowe prawo do tego, by wypowiadać się na temat problemów Appalachów – w odróżnieniu ode mnie, przeżyła w Jackson całe dzieciństwo. W liceum była prymuską, potem ukończyła też studia, jako pierwsza z całej rozbitej rodziny. Na własnej skórze doświadczyła w Jackson najgorszej biedy, a jednak dała radę.

Ta gniewna reakcja to coś, co zauważono też w opracowaniach akademickich na temat Amerykanów z Appalachów. W artykule z grudnia 2000 roku socjologowie Carol A. Markstrom, Sheila K. Marshall i Robin J. Tryon stwierdzili, że wśród nastolatków z Appalachów unikanie rozważania problemów i myślenie życzeniowe jako formy radzenia sobie występują ze „znacząco uporczywą przewidywalnością". Ich badania wskazywałyby, że „bidoki" już od najmłodszych lat uczą się ignorować niewygodne fakty albo udawać, że istnieją inne, lepsze fakty. Tendencja ta może sprzyjać odporności psychicznej, ale też sprawia, że mieszkańcy Appalachów mają problem ze szczerą samoocenią.

Skłaniamy się ku przesadzie i niedopowiedzeniom, ku wychwalaniu własnych zalet i przemilczaniu wad. To dlatego ludzie z Appalachów tak ostro zareagowali, gdy uczciwie przedstawiono niektórych spośród ich najbiedniejszych krajanów. To dlatego wielbiłem braci Blantonów, dlatego przez pierwszych osiemnaście lat życia udawałem, że to cały świat jest pełen problemów, ale bynajmniej nie ja.

Prawda jest niełatwa, a najtrudniejsze dla ludzi z gór są te prawdy, które muszą oni przyznać o sobie samych. W Jackson bez wątpienia mieszka mnóstwo najwspanialszych ludzi pod słońcem, jest tam też jednak pełno lekomanów, jak też przynajmniej jeden facet, który znalazł czas, żeby zmachać ósemkę dzieci, ale żeby je utrzymywać, to już nie. Bez wątpienia jest to piękne miasteczko, ale jego urodę przyćmiewają zniszczona przyroda i śmieci niesione wiatrem po okolicy. Żyją tam ludzie robotni, oczywiście za wyjątkiem wielu zasiłkowiczów, niespecjalnie zainteresowanych uczciwym zarabianiem na życie. Jackson, podobnie jak bracia Blantonowie, jest pełne kontrastów.

Porobiło się tak niedobrze, że zeszłego lata, po tym, jak mój kuzyn Mike pochował matkę, zaraz zaczął myśleć o sprzedaży jej domu.

– Nie chcę tu mieszkać, a domu bez opieki nie mogę zostawić – powiedział. – Zaraz by go ćpuny splądrowały.

W Jackson zawsze było biednie, ale nigdy nie było tak, żeby człowiek bał się zostawić niezamieszkany dom po matce. Miejsce, które mam za swój dom, nieprzyjemnie się zmieniło.

Jeśli kogoś kusiłoby, żeby uznać te problemy za partykularne troski peryferyjnych dulin, wystarczy rzucić okiem na mój życiorys, żeby przekonać się, że niedole Jackson widać już w życiu całych Stanów. Dzięki masowej migracji z biedniejszych rejonów Appalachów w inne okolice, do Ohio, Michigan, Indiany, Pensylwanii czy Illinois, system wartości bidoków rozplenił się szeroko, podobnie jak oni sami. W rzeczy samej, wychodźcy z Kentucky i ich potomstwo stanowią tak znaczną część mieszkańców Middletown

w stanie Ohio, gdzie dorastałem, że jako dzieci wzgardliwie nazywaliśmy to miasto „Middletucky".

Moi dziadkowie wyrwali się z prawdziwego Kentucky i przenieśli do Middletucky w poszukiwaniu lepszego życia, pod pewnymi względami nawet im się udało. Jednak jeśli spojrzeć z innych stron, przed niczym nie zdołali uciec. Plaga lekomanii, która zstąpiła na Jackson, dotknęła też ich starszej córki, na całe jej dorosłe życie. Może zęby Mountain Dew są szczególnym problemem w Jackson, ale moi dziadkowie walczyli z tym także w Middletown: miałem dziewięć miesięcy, kiedy Mamaw po raz pierwszy zauważyła, że mama leje mi pepsi do butelki ze smoczkiem. W Jackson niełatwo znaleźć porządnego ojca, ale niewielu takich trafiło się też w życiu wnuków moich dziadków. Od dziesięcioleci ludzie starali się uciec z Jackson, a teraz walczą o szansę wydostania się z Middletown.

Może te problemy wyrastają z Jackson, trudno jednak dostrzec, gdzie jest ich kres. Kiedy lata temu widziałem z Mamaw ów kondukt pogrzebowy, uświadomiłem sobie, że i ja jestem z gór. Podobnie jak znaczna część amerykańskiej klasy robotniczej. I my, ludzie z gór, nie radzimy sobie najlepiej.

2 MILIONY SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY

OD PONAD 70. TYGODNI BESTSELLER „NEW YORK TIMESA"

W PRODUKCJI FILM W REŻYSERII RONA HOWARDA

„Podziwiam odwagę J.D. Vance'a".

BILL GATES

Historia Vance'ów zaczyna się w pełnych nadziei latach powojennych. Dziadkom autora, bidokom z Kentucky, udało się awansować do klasy średniej, a ukoronowaniem sukcesu stał się J.D., który jako pierwszy zdobył dyplom wyższej uczelni. Czy zdołał uciec od spuścizny przemocy, alkoholizmu i traum tak typowych dla rejonu, z którego się wywodzi?

Szczera i bezpretensjonalna opowieść Vance'a o dorastaniu w Pasie Rdzy to również niezwykle aktualna analiza kultury pogrążonej w kryzysie – kultury białych Amerykanów z klasy robotniczej. O zmierzchu tej grupy społecznej, od czterdziestu lat ulegającej powolnej degradacji, powiedziano już niejedno. Nigdy dotąd jednak nie opisano jej z takim żarem, a zwłaszcza – od środka.

Znaczna część USA straciła wiarę w amerykański sen, co odbiło się na wynikach ostatnich wyborów prezydenckich. *Elegia dla bidoków* pokazała Amerykanom z dużych miast, jak mało wiedzą o swoich rodakach. A ciepła, wyrozumiała narracja Vance'a stała się ważnym głosem w dyskusji o rozwarstwieniu społecznym. O tej książce mówi cała Ameryka.

w sprzedaży także eBOOK

cena 39,90 zł

www.marginesy.com.pl

9 788365 973047

PATRONAT MEDIALNY

BOOKLIPS.PL

lubimyczytać.pl